

JASON F. WRIGHT

SZCZĘŚCIE  
DO WZIĘCIA

Przełożył  
Zbigniew Kasprzyk

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału  
CHRISTMAS JARS

Copyright © 2005 by Jason F. Wright

© Wydawnictwo WAM, 2015

Opieka redakcyjna: Anna Pasieka-Blycharz

Redakcja: Agnieszka Caba

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – [www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Łamanie: Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-0155-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

Druk: Grafarti • Łódź

## PROLOG

---

### *Poznajemy Hope*

Louise Jensen siedziała sama przy stoliku w restauracji Chuck's Chicken 'n' Biscuits, przy drodze krajowej numer 4. Oblizywała po dwa palce naraz, z wielką powagą przyglądając się ociekającym tłuszczem udkom kurczaka ułożonym na talerzu. Nagle usłyszała przytłumiony płacz dochodzący spod stolika za jej plecami. Było wczesne, piątkowe popołudnie. Był to też ostatni dzień roku.

Louise wprawdzie nie miała w planach znalezienia porzuconej, niebieskookiej, nowo narodzonej dziewczynki, ale była jedną z tych wierzących kobiet, które uważają, że nic nie dzieje się bez powodu. Schyliła się więc i wzięła różowiutkie dziecko w ramiona. Tuż przy szyi noworodka owiniętego w poplamiony koczyk znalazła kartkę z napisaną odręcznie, anonimową wiadomością:

*Do osoby, która jako druga będzie trzymać w ramionach moją córeczkę.*

*Ona od tej pory należy do Ciebie. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo będę za nią tęsknić. Za bardzo*

*jednak ją kocham, żeby wychowywać ją z tatą, który bije. Tak naprawdę to on i tak nie chciał, żebym ją urodziła, i lepiej jej się będzie żyło bez mamy, która musi cały czas uciekać. Proszę, powiedz jej, że ją kocham. I że kiedyś znowu ją przytulę.*

*Niewiele jej mogę dać, ale w tym roku dałam jej życie, którego nie chciał jej dać tata. Dałam jej też odrobinę nadziei.*

Louise była sprzątaczką w średnim wieku. Nigdy nie wyszła za męża, a jej sytuacja finansowa raczej nie pozwalała na wzięcie odpowiedzialności za wykarmienie drugiego człowieka. Wiedziała jednak, że to nie było przypadkowe zdarzenie. Każdego roku spędzała w tej samej restauracji wigilijny wieczór. Tydzień temu musiała jednak zostać w łóżku, ponieważ dopadła ją ciężka grypa. Kiedy temperatura jej ciała sięgnęła trzydziestu dziewięciu stopni, z bólem musiała przełożyć – po raz pierwszy w życiu – swoją doroczną kolację. Louise odzyskała siły trzydziestego pierwszego grudnia, czyli całe trzy dni wcześniej, niż się spodziewała. Wybrała się więc do Chucka.

Przebiegła wzrokiem po sali jadalnej, przyglądając się kilku na pół obcym osobom, i poczuła, że matka tego dziecka – chociaż pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy – w pewnym sensie wiedziała, że właśnie o tej godzinie, w ostatni dzień roku, Louise Jensen będzie w końcu jadła swój tradycyjny, chociaż spóźniony, świąteczny posiłek.

Przyjrzała się niczego nieświadomym klientom, którzy gawędzili przy jedzeniu o swoich wielkich planach na nadchodzący rok. Na ich twarzach widać było światło odbijające się od przesadnej, czerwono-zielonej dekoracji świątecznej. Przez blade abażury nad ich głowami przewieszono srebrny choinkowy łańcuch. Przy drzwiach stała sztuczna choinka. Na jej czubku – zamiast tradycyjnej gwiazdy lub anioła – zatknięto wypchanego komiksowego kurczaka ze smutną miną. Przy kasie żona Chucka wymieniała baterię w tańczącym Świętym Mikołaju.

Louise otuliła dziecko płaszczem, położyła na stole dziesięciodolarowy banknot i wymknęła się bocznymi drzwiami.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Louise! – zawołał ktoś w chwili, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi.

Obejrzała się za siebie i uśmiechnęła, nie zwalniając kroku, dopóki nie dotarła do swojego zardzewiałego chevroleta el camino, który stał na drugim końcu parkingu. Dwukrotnie spojrzała w lewo i w prawo, po czym przypięła dziecko na siedzeniu pasażera i najwolniej, jak tylko pozwalał silnik, przejechała pięć kilometrów do najbliższego centrum handlowego. Przez całą drogę zadawała sobie pytania, na które – jak się obawiała – nigdy nie usłyszy odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu była też wdzięczna za to, że zachorowała na grypę.

Louise, którą też wychowała samotna matka, postanowiła, że w życiu przede wszystkim postawi na niezależ-

ność. Było to na długo przed tym, jak podjęła pierwszą pracę jako opiekunka szóstki dzieci ze swojego osiedla. Miała wtedy dziesięć lat.

Jensenowie zawsze doceniali wartość pracy. Jak daleko Louise sięgała pamięcią, jej matka zawsze pracowała na trzech posadach jednocześnie. Oszczędzała, ile tylko mogła, i prosiła Boga, aby Louise i jej brat mogli kiedyś pójść do college'u i osiągnąć w życiu więcej niż ona. Louise jednak nigdy nie wyobrażała sobie innego życia niż to, które wiodła z matką. Jej idolka codziennie urabiała sobie ręce po łokcie, każdego człowieka traktowała jak członka rodziny, a niepotrzebne krytykowanie innych uważała za stratę czasu w nawale codziennych zajęć, tak że dla wszystkich miała wyłącznie życzliwość.

Brat Louise wyjechał, żeby studiować na politechnice. Ona natomiast po ukończeniu szkoły średniej została z mamą i razem z nią pracowała. Większość jej znajomych najwyraźniej przestała rosnąć tuż przed ukończeniem szkoły. Tymczasem Louise przybyło jeszcze kilka centymetrów między osiemnastym a dwudziestym rokiem życia. Ostatecznie jej wzrost osiągnął sto osiemdziesiąt centymetrów. Grube, ciemnobrązowe włosy opadały jej z tyłu na biodra. Miała duże oczy koloru mlecznej czekolady, których po prostu nie dało się zapomnieć...

Louise i jej matka sprzątały w restauracjach, hotelach, sklepach, a raz czy dwa nawet na stacjach benzynowych. Najbardziej jednak lubiły utrzymywać porządek

w domach należących do niewielkiego kręgu bogatych klientów. Uczyniły z pracy sprzątaczką prawdziwy kunszt, dbając o domy innych ludzi jak o swój własny.

Pracowały u zamożnych rodzin. Przesiadały atmosferą pełnego pośpiechu życia mężów, żon i ich zazwyczaj dobrze wychowanych dzieci. Na zewnątrz wprowadziły utrzymywały profesjonalny dystans, w głębi serca jednak przywiązywały się do dobrych ludzi, u których sprzątały, i obdarzały ich zaufaniem, miłością i podziwem.

Po śmierci matki Louise nadal pracowała jako sprzątaczką. Nigdy nie widziała nic dziwnego w tym, że najsilniejszą więź ze swoją matką, przyjaciółką i współpracowniczką w interesach w jednej osobie, odczuwała wtedy, kiedy ścierała kurze lub na kolanach szorowała podłogę.



Kiedy Louise zapinała marudzącą malutką dziewczynkę w nowiuteńkim foteliku samochodowym, była już w niej zakochana. Następnego dnia rano stanęłaby do walki z każdym, kto chciałby jej ją odebrać.

– W prawie przede wszystkim liczy się aktualny stan rzeczy – oznajmiła przez telefon pracownikowi opieki społecznej.

Mimo drobiazgowego śledztwa nie udało się znaleźć żadnych śladów, które pozwoliłyby ustalić tożsamość matki dziecka. Nikt nie przypominał sobie, żeby widział ją tamtego wieczoru u Chucka; nikt nie zauważył

nic nadzwyczajnego; nikt też – wbrew oczekiwaniom – nie wrócił, żeby zapytać: „Kto wychowuje moją córkę?”. Uznano więc, że matka dziewczynki już dawno wyjechała. Skoro ona postanowiła iść dalej swoją drogą, trzeba zrobić to samo.

Po miesiącach wysłuchań w sądzie rodzinnym, wywiadów, niespodziewanych wizyt kontrolnych i zmagani z to-nami niepotrzebnych przepisów władze stanowe ostatecz-nie przyjęły do wiadomości to, co Louise i wąski krąg jej znajomych wiedzieli od samego początku: że Louise Jen-sen doskonale nadaje się na matkę. Co więcej, sąd uznał, że pozostając u niej, dziecko ma największe szanse na dobre życie. Opinia sądu zresztą i tak nie miała większego znacze-nia, bo Louise za nic w świecie nie oddałaby dziewczynki.

Odjeżdżając spod sądu po – jak miała nadzieję – ostat-niej wizycie w tym gmachu, Louise spojrzała w lusterko na małą istotę, o której do tej pory mówiła wyłącznie „dziecko”.

– Od tej chwili jesteśmy rodziną – powiedziała głoś-no. – Jak my ci damy na imię?

I dała jej na imię Hope, to znaczy Nadzieja.

---

Hope Jensen nie potrzebowała wiele czasu, żeby zo-rientować się, że jej matka jest trochę zwariowana. – Ale w pozytywnym sensie – opowiadała koleżankom w szko-le podstawowej.



Niedługo po piątych urodzinach Hope Louise posadziła córkę przy ich ulubionym stoliku u Chucka i przygotowała się do odegrania sceny, którą wcześniej setki razy ćwiczyła przed lustrem w łazience. Kiedy Hope grała w kółko i krzyżyk, wykorzystując do tego gorące tater tots<sup>1</sup>, matka podała jej odręcznie napisany list i wyjawiała prawdę o ich pierwszym spotkaniu. Killkoro znajomych gapiów, doskonale zdających sobie sprawę, jaka scena rozgrywa się przed ich oczami, przyglądało się im z pełnym troski zaciekawieniem.

– To znaczy, że nie jesteś moja mamusia? – zapytała Hope po naturalnej chwili milczenia.

– Oczywiście, że jestem, kochanie – Louise czuła, że łzy napływają jej do oczu. To było dla niej zupełnie nowe doświadczenie. – Hope Jensen, jestem twoją matką tak samo dziś jak wczoraj. I będę nią też jutro i pojutrze.

Hope kiwnęła głową, jak gdyby właśnie pomalowały razem kolejny element kolorowej układanki.

– Czy my ją kiedyś spotkamy?

– Nie wiem, kochanie – odpowiedziała Louise. – Jestem jednak pewna, że ona chciałaby się kiedyś z tobą zobaczyć – wyciągnęła ręce i ujęła niewinne dłonie Hope. – Wiesz co? Z pewnością nie było jej łatwo pożegnać się z jedną z najbardziej wyjątkowych dziewczynek, jakie stworzył Bóg.

<sup>1</sup> Zapiekanne ziemniaki z serem, podawane w postaci krążków (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Hope siedziała spokojnie. Przetwarzała w głowie tę nową wiadomość, bawiąc się jednocześnie jednorazową torebką cukru.

– Czy ona mnie kochała?

– Oczywiście, że cię kochała, słoneczko – przytaknęła Louise. – Kochała cię tak bardzo, że dała ci lepsze życie.

Kolejne pytanie Hope rozwiało wszelkie obawy Louise o los córki:

– No dobrze, mamó. Czy teraz już mogę dostać lemoniadę?

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

Ostatniego dnia przedszkola Hope Jensen, trzymając mamę za rękę, oświadczyła, że wreszcie podjęła decyzję co do swojej kariery zawodowej.

– Jak dorosnę, zostanę prezydentem USA albo słynną dziennikarką.

– Ten drugi zawód przynosi więcej zaszczytu – drażniła się z nią mama.

Hope zgodziła się z nią i ostatecznie poświęciła się karierze dziennikarki.

Wszyscy, którzy znali Hope, podejrzewali, że zaczęła pisać już w łonie matki. Jako dziecko częściej trzymała w rękach papier i ołówki niż grzechotki i biszkopty dla niemowląt. W drugiej klasie napisała cykl sztuk o motocyklowym gangu sympatycznych króliczków. W trzeciej stworzyła chwytające za serce opowiadanie o bezdomnej myszy, która uratowała swoją rodzinę dzięki wygranej w loterii stanowej. W klasach czwartej i piątej pisała rodzinny jednostronicowy biuletyn informacyjny ukazujący się pod tytułem „Jensen Report”. Jako chuderlawa szóstoklasistka Hope sporządziła imponującą listę adresów dalekich kuzynów, nauczycieli, byłych nauczycieli

oraz ludzi, którzy później dowiadawali się, że nic ich ze sobą nie łączyło. Co drugi poniedziałek rozsyłała czterostronicową rozkładówkę do czterdziestu prenumeratorów mieszkających w sześciu stanach USA i w Kanadzie.

Hope wyrosła na olśniewającą młodą kobietę. Na obwódce tęczówki, która do tej pory miały dziecięcy, niebieski kolor, pojawiła się głęboka zieleń.

– To nie są oczy – mówiła jej Louise. – To są klejnoty.

Włosy Hope – najczęściej związane w kucyk – były znacznie ciemniejsze, niż można było się spodziewać po osobie o tak bladej cerze i jasnych oczach.

Hope często myślała o tajemniczej kobiecie, która kiedyś zostawiła ją przy stoliku w restauracji u Chucka.

– Mamo, jak sądzisz, czy ona ciągle mieszka gdzieś w okolicy? Czy jest do mnie podobna? Myślisz, że tak jak ja woli różową lemoniadę od żółtej? Czy ona w ogóle o mnie myśli?

– Możliwe.

Louise używała tego słowa jako standardowej odpowiedzi na wszystkie pytania, na które nie dało się odpowiedzieć. Głęboko w sercu Hope wierzyła, że kiedyś dowie się prawdy, ale rozum mówił jej coś innego.

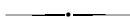
Począwszy od drugiej Wigilii Bożego Narodzenia w życiu Hope i przez wszystkie kolejne Wigilie Hope i Louise Jensen podtrzymywały swoją tradycję, goszcząc w restauracji u Chucka. Posiłek jadły powoli i z namasz-

czeniu, opowiadając sobie różne historie i snując plany na przyszłość.

– Nigdy nie wiadomo – zwracała się Hope do mamy, kiedy zbliżała się trzecia godzina posiłku. – Może właśnie w tym roku.

– Możliwe – odpowiadała Louise, ale tajemnicza kobieta nigdy się nie pojawiła.

– W przyszłym roku – oznajmiła Hope, jakby stwierdzała dowiedziony fakt. – Wiem to na pewno.



„Nad wiek rozwinięta” Hope, jak mawiali o niej znajomi matki, była pierwszą uczennicą młodszych klas szkoły średniej, która w drugim roku nauki została mianowana naczelnym redaktorem szkolnej gazetki. Zlecenie artykułów, redagowanie oraz sprzedaż reklam to były ciekawe zajęcia, ale największą frajdę sprawiało jej pisanie.

– Ona chyba w żyłach ma atrament zamiast krwi – mówiła promieniejąca z radości Louise.

Kiedy lata szkolne odchodziły już do wspomnień, nastąpiło ukoronowanie sukcesów Hope. Był nim reportaż o doradcy zawodowym dla najstarszych klas, który nie miałby szansy na przeżycie bez bardzo kosztownego przeszczepu wątroby. Po jej artykule uczniowie zebrali prawie dziewiętnaście tysięcy dolarów. Doradca przeżył, a poruszająca opowieść Hope zdobyła ex aequo pierwsze miejsce w ogólnokrajowym konkursie dla szkolnych dziennikarzy.

Ponieważ Hope chciała zyskać większe uznanie, a wiedziała już dokładnie, jak chce zarabiać prawdziwe pieniądze, złożyła aplikację na staż w „Daily Record” i go otrzymała. Była to jedyna poważna gazeta w czterech okolicznych miastach. Jako stażystka, Hope wykonywała każde polecenie. Nauczyła się obsługiwać wszystkie urządzenia: od automatu z wodą po koparki i frankownice. Zaledwie dwa tygodnie po ukończeniu szkoły otrzymała ofertę płatnej pracy.

Pierwszym przystankiem w jej zawodowej karierze był maleńki boks w dziale reklam.

– To tylko początek – oznajmiła mamie w dniu, w którym skopiowały i oprawiły w ramkę czek z jej pierwszą wypłatą.

Hope – cudowne dziecko – zmierzała do zdobycia Nagrody Pulitzera. Postanowiła, że dołączy do grona wybitnych amerykańskich dziennikarzy. Nad biurkiem zawiesiła ułożone w kwadrat fotografie swoich idoli: Carla Bernsteina, Boba Woodwarda i Katherine Graham. W czwartej ramce, która dopełniała kwadrat, nie było zdjęcia. Za szybką widniał natomiast biały kawałek papieru z napisanym czarnymi, dużymi literami zdaniem: KOLEJ NA MNIE.

Ponieważ pracowała tylko dwadzieścia osiem godzin w tygodniu, miała mnóstwo czasu na studia w państwowym college’u. Ludzie dzwoniący do gazety słyszeli w słuchawce głos należący do energicznej osiemnastolat-

ki, która pisała najlepsze reklamy, jakie można było kupić za dwadzieścia dziewięć dolarów za tydzień: „Najbardziej wystrzałowy dom w dzielnicy!”, „Ten czerwony pontiac to prawdziwa piękność!”.

Po roku pisania haseł reklamowych i redagowania cotygodniowych ofert promocyjnych Hope otrzymała awans do działu wydarzeń lokalnych, w którym pisała ekscytujące artykuły o jesiennych festiwalach, targach ksiązek oraz o sprzedaży pieczywa w remizach.

– Mogłabym o tym pisać z zamkniętymi oczami – skarżyła się mamie.

– Cierpliwości, kochanie, cierpliwości.

Po kolejnym półtorarocznym okresie ciężkiej pracy i nauki Hope była na ostatnim semestrze dziennikarstwa.

– Czas na coś więcej – oznajmiła szefowi.

Przed następną wypłatą otrzymała kolejny awans, tym razem do działu redakcyjnego. Zaskoczyła mamę tą wiadomością, kiedy w domu jadły obiad kupiony na wynos.

– Jesteś cudowna – wyraziła uznanie Louise. – Jestem z ciebie dumna.

Podczas gdy kończyły tacos i chipsy, Hope głośno snuła wizje swoich przyszłych osiągnięć.

– Napiszę reportaż – wiem to na pewno – który trafi na jedynekę, czyli na pierwszą stronę! To się nazywa „nad foldem”, mamie – powyżej zgięcia.

– Nie wiedziałam...

– I oczywiście zdobędę nagrodę za najlepszy artykuł roku. I zobaczysz: będę pisać dla „Washington Post”, jeszcze zanim przyślą mi odznakę.

Zjadły wszystkie chipsy. Na koniec oblizały palce, żeby nie uronić najmniejszej odrobinki. Kiedy wyrzuciły folię i plastikowe opakowania, Louise ruchem głowy wskazała zachłyśniętej swoim sukcesem córce miejsce na kanapie. Ona też miała dla niej ważne wiadomości. Były to najprostsze, a jednocześnie najbardziej szokujące słowa, jakie Hope usłyszała w życiu:

– Mam raka – oznajmiła Louise, po czym aż do świtu, siedząc na kanapie, tuliła w ramionach zanoszącą się od płaczu córkę.



## SPIS TREŚCI

Prolog	7
Rozdział pierwszy	15
Rozdział drugi	21
Rozdział trzeci	25
Rozdział czwarty	33
Rozdział piąty	39
Rozdział szósty	47
Rozdział siódmy	55
Rozdział ósmy	61
Rozdział dziewiąty	73
Rozdział dziesiąty	91
Rozdział jedenasty	101
Rozdział dwunasty	105
Rozdział trzynasty	109
Rozdział czternasty	117
Rozdział piętnasty	123
Rozdział szesnasty	129
Rozdział siedemnasty	139
Rozdział osiemnasty	153
Rozdział dziewiętnasty	163
Podziękowania	166